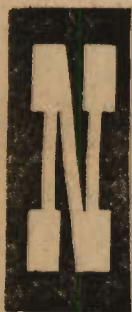


GŁOS z WIDOWNI

„Kołodnicy”



A wstępie winna jestem zespołowi Teatru Dramatycznego w Gdyni i gdańskiej publiczności małe wyjaśnienie. Przyznam, że ostatnio nie nadążamy z odnotowywaniem kolejnych premier. Nie dotyczy to tylko tego teatru i grudniowych „Kołodników” Jana

Skotnickiego w reżyserii Jerzego Janeczka. Proszę nam wybaczyć i uwierzyć, że nie ma w tym złej woli. Po prostu tyle się dzieje obecnie, że nie starcza sił, czasu by przy takiej gęstości zdarzeń w każdej dziedzinie życia wyłapać wszystko, co tradycyjnie znajdowało miejsce na naszych łamach.

Tak się stało, że premiera „Kołodników” w gdańskim Teatrze Dramatycznym zbiegła się z innym gdańskim przedstawieniem — premierą „Kołodny-rocki” w Teatrze Muzycznym. Obie te sztuki oparte zostały na motywach widowisk pastoralnych. Mimo zbieżności motywów, co wynika z czasu ich wejścia na scenę, zbyt wiele jest róż-

nic, aby snuć analogie, choć sporo pomysłów inscenizacyjnych znalazło miejsce w obu przedstawieniach. Jak choćby ten, aby włączyć widownię do scenicznej akcji.

W „Kołodzie-nocce” np. dzieł nie się z widzami opłatkiem ma inny sens niż poczęstunek bigosem w Teatrze Dramatycznym. Tam chodziło o podkreślenie wspólnoty losu, tu i teraz wobec działającej się historii, której jesteśmy współtwórcami i uczestnikami, a tu, w Teatrze Dramatycznym wspólna uczta stanowi nawiązanie do staropolskich tradycji biesiadnego stołu.

„Kołodnicy” to właśnie nostalgiczna próba powrotu do samego źródła ludowej literatury wieku złotego — jasnej, optymistycznej, swobodnej i słonecznej. Tymi przymiotnikami określa ją autor „Kołodników”, wyjaśniając dlaczego miał chęć zaczerpnąć właśnie z tego, przedromantycznego źródła inspiracji.

Pisze on: „O, jakże często mam dość, po uszy mrocznego rozstrzyganego przy każdym przedstawieniu sprew ostatecznych naszego bytu, aluzji, wzajemnych porozumień, znaków dla wtajemniczonych”. Gwoli ścisłości dodajmy, że słowa te pisał przed wydarzeniami sierpniowymi.

Faktem jest, że „Kołodnicy” —

widowisko pastoralne nawiązujące do konwencji ludowego teatru, w którym motywy religijne sprowadzone zostały na ziemię między lud prosty, czasem rubaszny, oddaje ducha swojskiej, choć tak przecież odległej obyczajowości wsi polskiej. Aby pozostać w zgodzie z duchem teatru ludowego, reżyser pozwala aktorom improwizować, pozostawia szeroki margines dla ich własnej inwencji.

Czasem nawet jest w tym pewna przesada, jak np. w scenie z Heradem, któremu przez nadmiar „gępsów” odjęto wszelką grozę. W innych scenach jednak, jak np. przy biesiadnym stole ta zasada improwizacji, ujęta w ramy bardziej zwrotnej scenicznej dyscypliny, daje znakomite efekty. Stwarza nastrój zabawy swobodnej, ale nie bezmyślnej. Zarówno śmiech, chwile zadumy, niedopowiedzenia, zyskały głębię, budzą nieoczekiwane skojarzenia, jak np. motyw kołedy „Cicha noc”. Piosenki i te znane, i te które autor zaczerpnął z bogatej skarbnicy Kolbergowskich źródeł, jak np. kołedy góralskie i wreszcie te pisane przez współczesnych autorów, m. in. Ernesta Brylla do muzyki Jerzego Satanowskiego, stanowią mocną stronę przedstawienia. Aktorzy przez cały spektakl mają sporo roboty — recytują, tańczą, śpiewają bez chwili wytchnienia. Za to widz odpoczywa sobie po trudach codziennej rzeczywistości, choć czasem coś go ścisnie za gardło, jak choćby wtedy, gdy zespół śpiewa finałową piosenkę-koledę o ciemnej nocy betlejemskiej, nocy pojednania, w czasie której tylko nieliczni poszli za światłem błyszczącej gwiazdy.



Scena zbiorowa.

Fot. T. Link

W sumie przedstawienie działa ożywczo jak wspomnienie z dzieciństwa, którego dalekie echo drzemie w ciepłym zakamarku naszej podświadomości, a obudzone przypomina nasz wspólny rodowód. Czy jednak kiedyś jeszcze będziemy umieli bawić się tak bez troski?

Teresa Zwierzchowska